Tygodnik

4 Grudnia — 49. — 1819.

Szczęśliwy kto wdzięk wraz z pożytkiem złączył!

KRASICKI.

MIRT i ROZMARYN.

Powieść.

W pierwszych dniach cierpkiej Jesieni, kiedy już zerwany owoc przestał uginać obciążane gałęzie przyległego sadu, a żółte i purpurowe liście, powiewem wiatrów północnych, tu i owdzie miotane, kręte ścieszki obszernego ogrodu miękkiem słały przykryciem; pyszny zaś granat, zwodniczy oleander, i zawsze jednej postaci wonne drzewa pomarańczowe, wśród murów pobliskiej oranżerji, zajęły zimowe

siedliska, i już tylko niekiedy przez miłośnika Botaniki, lub prawdziwego ogrodów znawcę, odwiedzane bywały: trafiło się przypadkiem, że na jednej linji zagranicznych przychodniów, między lazurowym agapantem, i różową hortensją, która jedynie oko łudzić umie, poważny i ciemny rozmaryn umieszczonym został. Ponure liście jego, wydawały żywo rozmaite barwy kwiatów, które go otaczały. Nigdy nieodmienny, już od lat kilkunastu witał corocznie nowe krzewy, przez urojenie lub modę na przemiany za najprzyjemniejsze i najpiękniejsze ogłaszane. Podobny do mędrca niczem niewzruszonego, wśród odmętu i burz swiatowych, stale wszystkie znosił przygody, które w małym jego zakresie nadspodziewanie często się zdarzały. Krzewina luba miłości, mirt nadobny i świeży, zajął był miejsce właśnie naprzeciw niego. Semperflorens nigdy nieogołocona z kwiatu i wonności, mięszała delikatne gałązki pomiędzy drobne jego listki, ciemne bukiety skromnego auryklu, zdobiły go od dołu, a inne rzadsze i nowsze zagraniczne płody, dziwaczne liście, kolce lub mchy rozmaite, w odmiennych postaciach i cieniach obok niego rozwijały. Jeden tylko rozmaryn, zdawał się być obcym wśród tego rozlicznego zbioru cudzoziemskiego przyrodzenia, bo on jedynym był płodem polskiego ogrodu; wszystkie rośliny obrawszy sobie za cel żartów tę narodową krzewinę, nieszczędziły szyderstw i dowcipu

na jej upokorzenie. Mirt nakoniec, odezwawszy się tym pewnym i śmiałym głosem, którego miłość używa, kiedy już niczego życzyć jej nie pozostaje: „I cóż ty tu, rzecze, staroświecki i posępny krzewie, na pamiątkę dzikiego gustu dawnych mięszkańców tej ziemi między nami zostawiony, cóż ty tu dłużej znaczyć będziesz? Kwiat twój blady, zapach niemiły, czynią cię godną ozdobą staropolskich stołów; twa postać surowa, twe najeżone i smutne gałęzie, już od dawna nas nudzą; mówią, że nim Polki poznały moje wonne kwiatki, twych liści na ślubne wianki używały. O jakże poważne i nieznośnie trwałe musiały być związki, do których ty należałeś! Ustąp ztąd prosiemy ciebie, bo na cóż wreście tu zdasz się? w tym świetnym gronie ani nas rozumieć, ani pojąć naszej mowy możesz.” — Na to rozmaryn, wysłuchawszy zarzutów lekkiego swego przeciwnika, tak mu z pogardą odpowie: „Miły mój przyjacielu, jakże mnie twa płocha mowa obrazić może, kiedy, takowe zarzuty, są moją najpiękniejszą pochwałą, a to co w tej chwili nastąpi, przekonać was o tem potrafi. — W tem, skrzętne ogrodniczki otworzywszy oranżerji podwoje, rozbiegły się po obszernym roślin mięszkaniu, a szybko kwiaty zrywając, wiły je w wieńce i wiązały w bukiety. Wnet piękna Elżbieta i Zofja świeża jak letni poranek, weszły razem do przybytku Flory. Obie zajęte były wyborem strojów weselnych. Zo-

sia hoża ale nieco płocha, obrała zaraz mirt na koronę dla siebie; ale czuła i nadobna Elźbieta, oko swe duże niebieskie, na starożytny rozmaryn rzuciwszy; „Ciebie ja szukam — rzekła tkliwie — poważny świadku szczęścia domowego naddziadów naszych, ty wieńczyć będziesz me skronie, kiedy Władysław mój luby, odbierze wieczne zapewnienie mojej miłości. Ach Zosiu miła, mirt może być powabnym dla zalotnych i niestałych, ale Polka idąc do Ołtarza, powinna się zdobić tym liściem, który przez wieków tyle, był godłem szczęśliwego pożycia Jej rodziny. „Zofja zarumieniła się jak zorza w dniu pogodnym, słysząc to ostrzeżenie, ale nie była w stanie mirtu odstąpić; gałązki przyjemnej rośliny spoczywały już na śnieżnym jej łonie: a wkrótkim czasie, narwawszy kwiatów do woli, pobiegły się zapytać swoich kochanków, który liść przyjemniejszy się im wydaje. Obadwa byli za rozmarynem. Władysław swoją Elźbietę ściskając tkliwie: „Tak moja luba — rzekł rozczulony, — ty będziesz dla mnie wszystkiem, lubo tak skromnym ozdobiona wiankiem: bo nad mirtowe gałązki zawsze domowe szczęście przekładać będę." Kochanek Zofji nie śmiał mirtu zupełnie oddalić, a chociaż mu obiecała niebaczna dziewczyna, że o rozmarynie niezapomni, tak mało go jednak wplotła w ślubną koronę, że zupełnie zagłuszonym został przez mirtowe kwiaty i liście. — Jedno z tych małżeństw wiodło życie spo-

kojne i jednostajne, iak czysta Wisła, kiedy najwolniejszy wietrzyk nie mąci jej wspaniałego biegu. — Drugiego chwile na przemian szczęśliwe i smutne, ulotne jak zapach mirtu, różnięce się jedne od drugich, jak zieloność ślubnego wianka Zosi, wystawiały obraz dnia wiosennego w północnej strefie naszej Ojczyzny.

Odtąd rozmaryn, pyszny że do dawnego wrócił znaczenia, szanowany od zagranicznych współbraci, zajmował spokojnie miejsce, z którego miał być haniebnie wygnany, a mirt chcąc na wzór miłości, zawsze nad wszystkiem panować, usechł z rozpaczy, że nim piękna pogardziła Elżbieta.

A. N....ska.

M y ś l i w y.

Nie pragnę wielkości świata,
I z ponęt jego żartuję,
Gdy wśród zimy, albo lata,
Wesół i zdrowy poluję.

Chociaż Władca szczodrą dłonią,
Żadnych mi nagród nie daje,
Dość gdy mi ogary gonią,
Albo wyżeł dobrze staje.

Niech się chełpi zwycięztw likiem
 Wojownik niesyty sławy,
I ja spotkawszy się z dzikiem,
 Odważnie staczam bój krwawy.

Co tylko w mych kniejach gości,
 Wskażą mi ślady wśród sniegów,
Z nich mam lepsze wiadomości
 Niźli policja od szpiegów.

Gdy do jam w pędzą ogary,
 Z większym je kopię zapałem,
Niźli kruszczowe pieczary,
 Naczelnik z górnictwem całem.

A skoro zakończę wrzawę,
 Wnet trąby zwycięztwo głoszą,
A ogary moją sławę,
 Jakby Gazety roznoszą.

S. Kaczkowski.

Hippika.

Wiele już Autorów pisało o koniach. Chcąc wspomnieć pierwszego, trzebaby się wrócić aż do Greków. Lubo jestem lubownikiem jeżdżenia, przecież taka podróż za wielką mi się wydaje, zacznę więc lepiej, jak to teraz jest w modzie, od siebie.

Wiedzcież więc czytelnicy, iż całe życie jeżdżę na koniu, nie lubię nic prócz koni, nieznam książek tylko o koniach. Piszę więc o rzeczy w której niezbywa mi na doświadczeniu, które w teraźniejszych czasach jest rzeczą niepospolitą.

Uważając naprzód sztukę kiełznania w całej rozległości, nie można tego przedmiotu tak lekko ważyć, jak się na pierwszy rzut oka wydaje, wszakże dla źle dobranego lub za ostrego wędzidła, nieraz znarowiły się najlepsze konie, nieraz pozbawiły jedzca, nosa, a nawet i głowy; nad tą więc sztuką szczególniej zastanawiać się będę, w niniejszej rozprawie, którą przyjaciele zręcznego powodowania koni z uwagą zechcą przeczytać.

Dla dokładnego rzeczy ocenienia, niewdając się w teoretyczne przepisy, któremi brzmią wszystkie ujeżdżalnie, udajmy się prosto do przykładów. Rzućmy okiem na Europejskie narody, dawne i teraźniejsze, uważmy gdzie są konie najlepsze, gdzie mają lub miały najwięcej ognia, najwięcej dzielności, a ztąd łatwo będzie uczynić wniosek, gdzie sztuka kiełznania czyli ujarzmiania, najmniej temu szlachetnemu zwierzowi czuć się daje, gdzie zatem zręczniejszy jest sposób ujeżdżania i zaprzęgania.

Któreż teraz konie najwięcej mają sławy, któreż w szlachetnych gonitwach raczej życie niż palmę postradać wolą, zgodnie odpowiedzieć trzeba że

Angielskie. W Anglji okiełznanie dzieje się najdokładniejszym sposobem, wędzidła są miękkie i tak cienkie, iż koń zdaje się wolnym, hamulce elastyczne wtenczas tylko przestają się wyciągać, gdy już nic popuścić nie można, a tak nie zginają głowy konia, zostawiają mu właściwą wyniosłość, wstrzymują go z umiarkowaniem, i tylko tyle żeby sobie i jezdcowi nie zaszkodził. Takie postępowanie rozwija w koniach przymioty, które u innych narodów przeciwnemi środkami są przytłumiane. Kark i głowa rumaka Angielskiego wynioślejsza niż u koni innego rodzaju, nadaje mu wspaniałą postawę odpowiadającą jego sile, i nieznaną gdzie indziej wytrwałość i szybkość w biegu do przeznaczonego celu.

W Turcji i Tartarji łapią konie na arkany, i często zdarza się, że z powodu ujarzmiania tak przeciwnego naturze, te piękne zwierza nieraz prędzej się dadzą udusić niżeli osiodłać. Ten sposób maluje nieco sprężystość rządów w krajach orjentalnych.

W Niemczech do ujeżdżania używają *Kawecanu* lecz takowe ściśnienie nozdrzy sprawia że koń łeb na dół zwiesza, z czasem zatkania mózgu dostaje, a nieraz w młodości już zaciemnieje.

U nas w Polsce dawnemi czasy niewiele o kiełznaniu myślano; wolny Pan wsiadał na wolnego konia, kierował nim lekko trenzlą, a i tak, dzielne ru-

maki wesoło nosiły walecznych jezdzców od Elby do Dunaju, od morza Baltyckiego do Czarnego; teraz modne Berejtery używają wprawdzie trenzli lecz obok nich widać podwójne hamulce z twardego rzemienia. To jest powodem iż konie pod wierżchem niemogą okazać właściwej im dzielności.

W zaprzęgach najpospolitszych używają także trenzli, lecz porę̨cznym koniom ściągają łby aż do kolan. Miło jechać takim wozem bo szybko bieży, lecz zbytne nękanie konia sprawja iż łatwo się niszczy, a nieustannie pasując się z swym wozicielem, bardzo często zbiegać się może.

I. K.

O niedogodnościach śmierci.

List Autora do swego Wydawcy.

Zdrowie moje pogorsza się codziennie kochany Wydawco! Ośle mleko tylu osobom pomocne, dla mnie tylko jest bez skutku. Już mi nawet myśleć nie wolno. Lekarz zabronił mi wyraźnie wszelkiej pracy, wszelkiej nawet rozrywki. Chcę pisać wiersze, to utrudza głowę; chcę śpiewać, to utrudza

piersi. Skazany jestem na zupełną nieczynność, i by nie umrzeć z pracy, każą mi umierać z nudów.

Już nie jestem zdatny do niczego, a wszystko mi zapowiada że wkrótce nie będę niczem. Smutna to prawda, która trapi moich przyjaciół, a nawet krewnych, bo nie mam żadnego majątku, ale najwięcej mnie samego; mówiąc albowiem między nami pomimo wszelkich oświadczeń które mi czynią, ja mam się zawsze za najlepszego swego przyjaciela.

Ta przyjaźń którą czuję ku sobie, wiele niespokojności obudza dziś we mnie. Jestem nie chełpiąc się Literatem, a przeto łakomym sławy. Bóg będzie litościwy nad moją duszą na tamtym świecie; ale na tym któż jeżeli nie WPan zajmie się moim rozumem? Za życia sława moja nie źle się miała, przykładem wielu poczciwych ludzi, sam do siebie listy drukowałem; sam się w nich chwaliłem; ale teraz któż dla mnie będzie równie grzecznym? Dzienniki będąż o mnie mówiły to co ja sam myślę? a to imie którego się tak pracowicie dorobiłem, nie umrzeż razem ze mną. Smutno dla mnie byłoby rzeczą tylko za życia być nieśmiertelnym, jak tylu innych.

Kiedy prosty człowiek umrze sobie, zadzwonią mu w Kościele, Xięża zaśpiewają, i wszystko się skończyło, jeżeli nie zostawił długów. Ale inasze, to utrudza głowę; choę śpiewać, to utrudza.

czej się dzieje z Literatem takim jak ty i ja kochany Wydawco! Wiele osób co o nas nie myślało za życia, dopiero gdy umrzemy, przypominają sobie żeśmy żyli. Taki prawie skutek w towarzystwie sprawiają ludzie śmiercią, jaki kamienie wpadające w studnię. Lekko wpuszczone, ślizgają się tajemnie nie marszcząc nawet powierzchni wody. Inne tworzą za sobą koła szersze lub węższe, w stosunku ich wielkości i wysokości z jakiej spadają. Samemu nawet ich spadkowi towarzyszy większy lub mniejszy szelest, który przez Echa powtórzony, może nawet trwać całą minutę.

Wkrótce ja wpadnę w tę studnię kochany Wydawco, ale czyż moje Echa będą wiernemi? Ta jedna okoliczność czyni mnie niespokojnym.

Echa odzywające się zwyczajnie z powodu śmierci ludzi naszej klassy, to jest członków Akademji i Towarzystw uczonych są: *Naprzód* Członek mający mowę pochwalną. *Powtóre* Następca obejmujący osierociałe miejsce *Potrzecie* Dziennikarze. *Poczwarte* Wydawcy dzieł Pogrobowych lub prywatnych Korrespondencji.

Mój następca jest Echem którego się najmniej lękam. Miłość własna odpowiada mi za niego. Wreście, raz w życiu będzie mówił dobrze o swoim kolledze wiedząc że sobie później ten przymus nagrodzi·

Co się tycze Dziennikarzy, ż temi musisz koniecznie wejść w układ kochany wydawco! Nie oto mi chodzi czy źle czy dobrze o mnie będą mówili. Ci ludzie tak czasem niedbają o człowieka że go nawet obmówić niechcą, a takie zapomnienie byłoby dla mnie najdotkliwszem. Wody rzeki Lete brane po wodach Hipokreny, mają być bardzo niesmaczne. Zmiłuj się więc Wydawco, zachowaj mnie od takiej niesławy. Jeżeli w trzy dni po mojej śmierci żadne pismo niezaszczyci mnie nekrologiem, biegaj zaraz po kantorach, targuj się, proś, błagaj, a jeśli i to niepomoże, wyjedź z Warszawy, udaj się o mil kilkadziesiąt, a w pewnem mieście znajdziesz kompanją grzecznych ludzi, którzy i *gratis* szkalu ją.

Przystąpmy do ostatniego rodzaju Echów, do Wydawców korrespondencyj prywatnych. Lada kartka zabazgrana która wpadnie w ich ręce, zaraz znajdzie miejsce w listach niewydanych. Są wprawdzie tacy, którzy drukują i korrespondencją z swoim Ekonomem, ale to czynią z własnej woli, i któż krępuje własną wolę? Ale przeciwnie jest zupełnie, ogłaszać cudze dzieła mimo woli Autora, i zdaje się iż powinno być koniecznie zaprowadzone jakieś ograniczenie w tym rodzaju przemysłu, który, mówiąc nawiasem przypomina dość zatrudnienie tych ludzi, co z płachtą na plecach chodzą od domu do domu grzebać po śmieciach, i w gnoju życie znajdują.

Ogłaszając to co niebyło pisane dla publiczności, naraża się sława dwóch osób, tej co pisała i tej o której jest mowa. Jeżeli albowiem to com pisał jest niesprawiedliwem: dlaczego publicznem ogłoszeniem pomnażać moję winę? Ieżeli mój list zawierał to com myślał, zdanie moje mogło się już odmienić, naprawić. Ogłaszając je czynisz mi krzywdę. List ten był poufałem zwierzeniem się, podchwytywać takie tajemnice jest szpiegostwem, wyjawiać je zbrodnią.

Są jeszcze rzadsze wprawdzie, ale także czasem odzywające się Echa, to jest Autorowie Drammatyczni. Kto wie czy ja niebędę sławnym? W takim przypadku gotowi mnie z trumny wydobyć i jeszcze ciepłego wystawić na scenę. Podobni do sług pogrzebowych, otaxują zawczasu co ktoś przynieść im może gdy się z tym światem pożegna. Dzięki ich staraniu, często na Scenie znajdziesz osobę którą niedawno pochowałeś. Pióro w ręku tych Panów jest różczką czarodziejską którą wywołują się duchy, ale na nieszczęście niewszystkie płody naszych pisarzy są czarownemi. Niejeden który chce wydać na scenie męża znakomitego, nie zna jego harakteru nie zna jego historji. Niemogąc go malować podług oryginału, maluje go podług siebie, a w takim razie obraz jest tym mniej pochlebny im podobniejszy.

Alećkochany wydawco! lepiej niechcę być sławnym, niż wpaść w ręce tych Ichmościów. Mówisz że los którego się obawiam podzieliłbym z Cezarem, Achillessem Alexandrem, i tylu innemi bohaterami, których lada pismak wyciągnie na scenę, a przecież ci mężowie nie cierpią wcale na niedorzecznych rolach, które im grać każe. Prawda; ale wyznać trzeba że niemasz porównania między mną a Cezarem; Cezar znany jest całemu światu, w własnym moim powiecie lepiej jest znany odemnie samego. Smiać się będą z Autora co tego męża dziwacznie odmaluje, przeciwnie chociażby mnie najniesprawiedliwiej wystawiono, nikt się nierozsmieje z niezgrabnego malarza, ale z biednej mojej fizjonomji, której nikt niezna. Wolę więc zostać jakim mnie Bóg stworzył, niż jakimby mnie ludzie zrobili. Niepragnę tracić ani zyskiwać, a wreście niech parodjują moje pisma, ale nie moją osobę, bo ci poprzysięgam uroczyście, że jeżeli mnie kiedy wystrychną na rycerza płaczliwego Drammatu, powstanę z tamtego świata i gwizdać będę.

Tak kochany wydawco! opiekuj się sławą moją. Tym końcem mianuję cię od dnia dzisiejszego moim kuratorem *ad hoc*. Niemam już nadziei tylko w Bogu i w tobie. Bogu poleciłem duszę, rozum mój składam w twoje ręce, *in manus tuas Domine commendo spiritum meum.*

E. B. F. członek wielu Towarzystw.

Wiersz

przy ofiarowaniu bukietu z świeżych kwiatów uwitego w dzień imienin A. Ł. r. 1815.

Wczoraj gdym ten bukiecik układał niewinny,
Głos się odezwał dziecinny:
„Czekaj i niekończ robcty!"
Spojrzę, alić z atmosfery,
Spuszcza się chłopczyk Cytery
Z łuczkiem i z ostremi groty.

„Wiem dla kogo — rzekł — te kwiatki,
Ja z rozkazu mojej matki,
Chce się do trudu przyłożyć,
Wdzięków ofierze przymnożyć."

Niepotrzebne tu wcale so już trudy twoje,
Rzekłem do synka Bogini pieszczonej,
Bukiet z niewinnych kwiatów upleciony,
Bez twoich się obejdzie, bo ma wdzięki swoje.
Otwarta szczerość z prostoto złoczona,
Te so celniejsze bukietu znamiona.

„Więc pozwól niech choć w czosteczce,
Godzi się ukryć w bukiecie strzałeczce...
Tkliwszym się odtod dla tkliwych pokaże."
„Na to się — rzekłem — może i odważę,

Ale zaręcz chłopcze śmiały,
Za skutek twych obietnic tak często niestały." . .

Zamilkł, i zaraz niecnota,
Utkwił w kwiatkach cząstkę grota,
Utkwił i znika, znikając się śmieje,
Mnie zostawując smutek i nadzieję.

Fr: Grz . . . . a

TEATR.

Dnia 26. Listopada, Artyści Narodowi na dochód P. Kudlicza, wystawili Trajedją *Safo* prozą przełożoną

Oddawna wyglądaliśmy tej sztuki, którą wszędzie z uniesieniem widziano, wcześnie przywiązaliśmy do niej wyobrażenie wielkich piękności, a mimo tego uprzedzenia, które bardzo jest niebezpiecznem bo wiele wymagać każe, oczekiwanie nasze zawiedzionem niezostało. *Safo* lubo niejest wolna od lekkich uchybień, zawsze jednak zajmować będzie miejsce pomiędzy arcydziełami tragicznemi. Starożytną prostotą oddycha cała Trajedja. Uczniowie Melpomeny wyprowadzają zwykle na scenę wypad-

ki, których wszelkie okoliczności lub znane lub przez starożytnych pisarzów dostatecznie są już rozwinięte, Autor *Safony* wszystko tworzyć musiał, a przecież Gienjusz jego wszystkie pięć aktów jak najnaturalniej wyprowadził; wyjąwszy monologi, które są może nazbyt częste i nazbyt długie, akcja nie spoczywa na chwilę, za każdą sceną wzmaga się interes, trzy jedności najskrupulatniej są zachowane. żadna niejest nadciągnięta, a jedność miejsca dla której widzieliśmy tylu pisarzy niemiłosiernie wypędzających podobieństwo do prawdy, tu zdaje się potrzebą sztuki.

Safo powraca z igrzysk Olimpijskich do Mityleny ojczyzny swojej. Wieniec zwycięztwa spoczywa na jej skroniach, *w obliczu całej Grecji za pienia swoje otrzymała zwycięztwo.* Chwała wieszcza spływa na ziomków. *Lud zgromadzony ciśnie się za nią i z radosnemi okrzyki* jej *imie obłokom podaje.* Z takim tryumfem występuje *Safo*, jakże okropnem jest poniżenie co ją wkrótce ma spotkać a jeszcze od tego, dla którego jedynie chwała i zbiory są jej miłemi.

Na przyjęcie Pani wybiegają wierni służący. Młoda niewolnica *Melita* zwracając oczy na wóz tryumfalny widzi swoję Panią, ale pierwej jeszcze widzi tego co *obok niej stoi. Postać szlachetna... jak Bóg lutni i łuku.* To *Faon*, *Faon* pod niską

strzecho wychowany na odgłos sławy *Safony* przejęty nieznanym uczuciem, niespokojny pobiegł na igrzyska Olimpijskie, ujrzał *koronę niewiast, przecisnął się aż do niej, lecz jej wzrokiem zawstydzony, stanął bez duszy, i dotąd jeszcze na pół tylko ocucony, nieumie rozeznać co się prawdziwie działo, a co tylko snem było.* Mniema że ją kocha, lecz *Safo* mimowolnie już rozeznaje uczucie zimnego podziwienia od ognia miłości, a smutnemi przeczuciami przejęta, siada i deklamuje:

Córko Jowisza! bądź życzliwą chęci,
Wieszczki, co tobie złotą lutnię święci,
Sławna przez ciebie, dziś tobą szczęśliwa,
Safo cię wzywa!

Niegdyś gdy strony ozwały się moje,
Złote Olimpu rzucałaś podwoje,
Wóz twój gołębie skrzydły złocistemi
Wiodły ku ziemi.

Często pytałaś któryż to kochany,
Sercu twojemu śmiałby zadać rany;
Któż jest na ziemi, by nie był wzruszony
Wdziękiem Safony.

Gdy dziś unika, później będzie prosił,
Gardzi darami, sam je będzie znosił,
Gdy dziś nie kocha, pod silniejszym grotem
Upadnie potem.

Teraz mi sprzyjaj najwyższa Bogini,
Będzie ci gorzeć ofiara w świątyni.
Tobie poświęcę każde moje tchnienie
I wieczne pienie.

W Akcie II; *Faon* opuszcza zgiełk uczty i wychodzi do spokojnego przysionka, tu sam pojąć się nie może. „Nędzneż to stworzenie *człowiek* — mówi sam do siebie — *nadzieja zmysły jego obudza, a spełnienie onjej pogrąża go we snie. Póki jej niewidziałem, nieznałem jeszcze, póki mi ją wyobrażenie tylko zmyślonym pędzlem wystawiało, wtenczas łatwo mi się zdało, za jedno jej spojrzenie życie poświęcić, a teraz gdy już jest moją, teraz przy żniwie płochej mej nadziei teraz otoczony wszystkiem, stoję, myślę, wacham się.* Zamyślony kryję się do groty. Niewolnice wchodzą z kwiatami wieńczyć przysionek domu, bo *Pani obchodzi święto miłości.* Ale *Melita* nieprzyniosła kwiatów; zawstydzoną i nieprzytomną sobie opuszczają towarzyszki. *Faon* powraca, widzi łzy w jej oczach, pociesza smutną, daje jej różę na zakład swej przyjaźni, i prosi o wzajemną pamiątkę, jedna tylko róża kwitnie na krzaku, lecz bardzo wysoko, wspina się po nią *Melita*, gałązka wymyka się z jej ręku, pada na ręce *Faona*. *Safo* wchodzi, groźno każe ustąpić niewolnicy, ale zwyczajną słodyczą obraca się do *Faona*. On mało słucha jej głosu, zadumany oglądá się za *Melitą*. Ta obojętność prze

raża Safonę. „*Teraz bywaj zdrow* — mówi — *bądź zdrów*.” „*Czy odchodzisz?*” pyta jej *Faon*. Szczęśliwa *Safo* mniema że ją chce zatrzymać, wraca natychmiast i z przymileniem mówi: *Jeżeli chcesz?*. lecz jakiż cios zadaje jej duszy zimny wyraz *Faona*: *Żegnam Cię*. „*Zegnam cię*. powtarza rozżalona i z rozpaczą uchodzi. *Faon* zamyślony siada na miejscu gdzie upadła *Melita*.

Na początku Aktu III. *Faon* uspiony spoczywa na tej samej darni, *Safo* wychodzi z groty, okropna myśl niewierności *Faona* dręczy nieszczęśliwą.” *Zmienny jest* — mówi — *umysł młodzieńca. Wolny wstępuje na otwartą drogę, pełen sposobu i nadziei, siłą i odwagą, jak tarczą i mieczem uzbrojony; chęci jego nieznają granic! A jeśli napotka miłość, schyli się zrywa kwiatek poranny, ogląda go, cieszy się, obojętny nakoniec, kładzie go za hełm do innych znaków zwycięzkich*. W tem spostrzega *Faona*. „*Ah to on! zasypia, pokoj i wesołość, osiadły na skroni jego. Ah tylko niewinność tak może oddychać Tak jest, więcej we śnie niżeli na jawie ci wierzę. Daruj mi podejrzenie! Uśmiecha się, otwiera usta, obudź się, wymów imie Safony! Obudź się.*” Pełna tak lubego marzenia, zbliża się Safo, dotyka *Faona*, ale któż opisze jej przerażenie, gdy na pół obudzony z zawartemi oczyma, wyciąga ręce, i woła „*Melito*! Ten raz był zamocny na jej duszę,

bez czucia stanęła *Safo*, wesołość *Faona* napełnia ją przerażeniem, a gdy niebaczny opowiada jej z rozkoszą iż we śnie widział ją pod postacią *Melity*: wtenczas już wstrzymać się nie może, i odejść mu rozkazuje. Teraz zazdrość przemaga w jej sercu, chce widzieć tę, ktora z *Safoną* walczyć się ośmiela, która *Safonę* zwyciężyła. Wchodzi *Melita* staranniej niż zwyczajnie ubrana. Pierwszy raz spostrzega *Safo*, że jest piękną, ale wychowawszy ją od wieku niemowlęcego, zawsze dziecko w niej widzi, aby pewniej się otem przekonać: „Wiele masz lat? pyta strwożonej dziewczyny. „Szesnaście." odpowiada *Melita*. Szesnaście? nie jest więc dzieckiem może być kochaną od *Faona*! ta myśl przeraża *Safonę*. „*Kłamiesz*!" woła w pierwszym zapędzie, ale wkrótce miarkuje niegodny zapał, przypomina *Melicie* dobrodziejstwa swoje, zaleca jej skromność, i każe zrzucić zbyteczne stroje. Chętnie *Melita* ustępuje jej wieńca z głowy, ale gdy *Safo* dopomina się i róży, którą ma z ręki *Faona*, wtenczas miłość nadzwyczajną odwagą napełnia drżącą niewolnicę, pierwszy raz w życiu wzbrania się być posłuszną. *Safo* zgaduje przyczynę tak nagłej zmiany i dobywa sztyletu na ukaranie zuchwałej, ale *Faon* przybiega i wstrzymuje cios zawieszony nad głową *Melity*. Niebezpieczeństwo kochanki przebudza go z długiego odurzenia, w jakie go wprawił urok imienia Safony. Tu *Faon* s aje się zupełnie innym człowie-

kiem. Z pokornego i nieśmiałego, zuchwały i niewdzięczny, nic niewidzi prócz żelaza co groziło *Melicie*, śmie *Safonie* wyrzucać okrucieństwo, śmie nawet wyrzucać dobrodziejstwa, któremi go obsypała, i niezważając na jej rozpacz porzuca ją porwawszy z sobą *Melitę*.

Po akcie trzecim który podług zdania mojego jest najpiękniejszym i najbardziej drammatycznym z całej trajedji, odpoczywamy nieco w czwartym, w którym Safo każe niewolnikowi swemu *Ramnesowi* uwieść Melitę do Chios, ale *Faon* wcześnie przybywa na jej obronę, i sam z nią uchodzi. Zdaje mi się, iż ten czwarty akt niewiele mocy dodaje sztuce, gdyż podobno ten cios jaki *Faon* zadał *Safonie* przy końcu Aktu III. „chodząc z Melitą, niemógł być mniej srogim od ujechania łódką w Akcie IV. Pierwsza nawet ucieczka, boleśniejszą być musiała *Safonie*, bo *Faon* w jej przytomności uchodził. Ale bez wątpienia Akt ten służyć ma dla mocniejszego oddania wielkości duszy którą *Safo* przy końcu okazuje.

Safo nieprzytomna sobie, noc w przysionku przepędza, dopiero na odgłos powrotu pogoni, którą za uciekającemi wysłała, przychodzi do zmysłów, lecz niemogąc znieść widoku dwóch osób które najmocniej kochała, a które ją najboleśniej obraziły, kryje się przy domowym ółtarzu. *Faon* płonący gniewem o przytrzymanie siebie i swojej kochanki

biegnie najdotkliwsze wyrzuty czynić Safonie, chce ją widzieć, widzi tę którą ubóstwiał, spotykają się ich spojrzenia, wstydzi się swoich zapędów, znowu ubóstwia *Safonę*, choć umie już oddzielić uczucie wielbienia od uczucia daleko słodszego które w nim *Melita* wzbudziła; pada na kolana przed nadziemską istotą, prosi ją o rękę Melity, ale Safo jeszcze niebyła w stanie słuchać takiej proźby, odchodzi. Dopiero natchnieniem Bogów wzmocniona, ze złotą lutnią i wieńcem zwycięzkim, wraca kapłanka Appolina, wyższa nad wszystko co jest ziemskiem, łączy przy ółtarzu ręce kochanków, z tąd występując na pobrzeżną skałę: „*Miłość ludziom* ! — zawołała wyższym głosem — *a Bogom posłuszeństwo* , *używajcie szczęścia które wam kwitnie*, *pomnijcie na mnie*. *Tak wypłacam dług ostatni życia*. *Błogosławcie im Bogowie*, *a mnie przyjmijcie do siebie*. To mówiąc rzuca się w morze.

Ta jest treść tej pięknej Trajedji, którą w całym ciągu wyniosła poezja ożywia. Poezja na tłómaczeniu prozą wiele tracić musi, ale Tłumacz tyle zasłużony w Polskiej Literaturze, wkrótce nowego do wdzięczności naszej nabędzie prawa, wierszem przekładając *Safonę*.

Po pierwszem wystawieniu we względzie gry Aktorów niewiele mówić się godzi. Jednakże przemilczeć niemożna, iż Pani L e d ó c h o w s k a od-

dała rolę swoję z tym ogniem i wieszczem natchnieniem, jakie Kapłance Feba przystoi.

Głos męski i wspaniała postawa P. Werowskiego, niepozwala mu dokładnie oddać roli którę wziął na siebie. Toż samo co nas zachwyca w Cydzie, stało się wadę w Faonie. Był bohaterem, choć raczej powinien być dziecinnym prawie młodzieńcem. Gdy jednakże nikt go w tej roli zastąpić niemoże, przeto prawdziwę wdzięczność mu winniśmy, iż tam nawet swój talent poświęca, gdzie stania się doskonałym niemoże mieć nadziei. W istocie rola Faona nie jest łatwę; to odurzenie od początku, dalej walka uwielbienia ku Safonie z miłością Melity, która w końcu Aktu III. największej siły nabiera, i przemienia całę istność Faona, są to trudności które P. Werowski mocno uczuł, a które wszystkie w dalszych wystawieniach talent jego bez wętpienia przezwycięży.

P. Kudlicz grał jak zawsze to jest doskonale. Mocne czucie, i przykładne umienie roli, są zaletami temu Artyście właściwemi, który w tych czasach drugi raz już występujęc w pomniejszej lecz znaczęcej roli, pokazał co niekiedy czynić powinny pierwsze talenta dla dobrego wystawienia ogółu.

P. Kurpińska z słodyczę wydała przyjemnę Melitę. Ogółem rzecz cała szła dobrze, jeden tylko Sufler, nawet w przytomności pierwszych osób tej trajedji, niechciał się zachować przystojnie i milczyć..